

Sprawiedliwość społeczna, czyli o osłabianiu zaufania do religii Jezusa Chrystusa

Michał Barcikowski

Jest to niestety smutna prawda, że postępowanie niektórych katolików przyczyniło się znacznie do osłabienia wśród robotników zaufania do religii Jezusa Chrystusa. Ci właśnie katolicy nie chcieli zrozumieć, że to miłość chrześcijańska żąda uznania pewnych praw przysługujących robotnikom i dlatego Kościół również zdecydowanie się ich domaga. Co sądzić o postępowaniu tych, którzy w swoich kościołach kolatorskich uniemożliwili odczytanie encykliki Quadragesimo anno? Co powiedzieć na to, że katolicy przemysłowcy nawet dziś jeszcze okazują się być wrogami tego chrześcijańskiego ruchu robotniczego, który My sami zalecaliśmy? Czyż nie jest to rzecz godna ubolewania, że czasem nadużywa się prawa własności uznawanego przez Kościół, aby pozbawić robotnika sprawiedliwej zapłaty i należnych mu praw społecznych?

*Pius XI, encyklika *Divini Redemptoris*,
o bezbożnym komunizmie z 19 marca 1937 r.*

Lekroć czytam te słowa, najbardziej uderza mnie nie ich treść, ale źródło: encyklika o bezbożnym komunizmie. Pius XI nie miał żadnych oporów, by w dokumencie Magisterium, potępiającym ideologię komunizmu jako wprost sprzeczną z prawem Bożym, przypomnieć, że dużą część winy za rozprzestrzenianie się takiej ideologii ponoszą sami katolicy. Katolicy, którzy odmawiają bliźnim spełnienia ich przyrodzonych praw. Innymi słowy: że komunizm nie rozprzestrzeniałby się tak szybko, nie miałby tak wielkiej, zwodniczej siły przyciągania, gdyby nie stanowił często jedynej, słyszalnej odpowiedzi na słuszne pytania i słuszne postulaty.

Sam fakt, że uderzyło mnie to, co dla Piusa XI jest naturalne: że nie tylko nie ma sprzeczności pomiędzy zwalczaniem komunizmu a potępieniem tego, że *czasem nadużywa się prawa własności*, ale że odrzucenie tego nadużycia jest warunkiem godziwej walki z komunizmem, świadczy o tym, jak bardzo w umysłach wielu współczesnych katolików rozeszło się to, co składa się na harmonijną całość.

Przecież dla katolika z dociekliwością studiującego i z uległością przyjmującego akty Magisterium Kościoła – zwłaszcza te koloquialnie określane jako „przedsoborowe” – to rozejście musi wydać się oczywistym absurdem.

Jeśli ktoś z dobrą wolą czyta encyklikę Leona XIII *Libertas* potępiającą filozofię liberalizmu, to po przeczytaniu passusu: [...] *gdy bowiem sama natura woła, że obywatelom w społeczeństwie nie powinno brakować na środkach i sposobach do prowadzenia uczciwego życia, tj. życia według praw Boga, bo Bóg jest początkiem wszelkiej uczciwości i sprawiedliwości, to zdanie, iż państwo nie potrzebuje się wcale troszczyć o owe prawa, a nawet coś uwłaczająco im stanowić, uderza bez wątpienia swą sprzecznością* – nie będzie mógł uczciwie stwierdzić, jak to czyni wielu katolików, że papieskie potępienia liberalizmu nie odnoszą się do liberalizmu ekonomicznego albo że Kościół nie ma kompetencji do wypowiedania się w sprawach gospodarczych.

Czemu zatem my, współcześni katolicy, zwłaszcza ci identyfikujący się jako „prawica”, konfrontując się z tym nauczaniem Kościoła, *śluchamy, a nie rozumiemy, patrzymy, a nie widzimy?*

Oczywiście nie jest trudno znaleźć przyczyny takiej dysfunkcji naszych zmysłów. Na nasze myślenie o sprawach społecznych, o tym, czym jest państwo i jaka jest jego rola, ciągle wpływa pamięć o komunizmie. O komunistycznych rządach, w których od państwa zależało, czy dostaniemy papier toaletowy, czy zostaniemy obsłużeni w restauracji, czy snopowięta będą miały sznurek, bez którego nie wyjadą na pola w czasie żniw.

Co więcej, duża część z nas, z oczywistego względu, jakim jest upływ czasu, pamięta komunistyczne państwo w jego fazie schyłkowej: z lat osiemdziesiątych, gdy przeżywało ono swoją agonię, gdy nie było w stanie zapewnić nawet mydła w szkolnych toaletach.

Równie ważne jest przy tym, że Zachód, na który wówczas zwracały się oczy wszystkich niczym na tolkienowski Wieczny Zachód, również przeżywał czas rozczarowania swoim modelem państwa opiekuńczego, powojennym *welfare state* – państwem dobrobytu. Kryzys lat siedemdziesiątych, rosnąca inflacja i rosnące wraz z nią bezrobocie, galopujące ceny benzyny, a w takich krajach jak Wielka Brytania również nieustające strajki, przerwy w dostawie prądu, wreszcie gnijące na ulicach śmieci czy zwłoki w kostnicach – niepochowane z powodu strajku personelu. Związkowe zbrojne pikiety, które siłą odpędzały od drzwi zakładów pracy tych pracowników, którzy strajkować nie chcieli.

To wszystko doprowadziło do triumfu wyborczego takich postaci jak Reagan czy Thatcher, których neoliberalizm, antyeta-tystyczna retoryka czy propozycje deregulacji rynku wydawały się być odpowiedzią na ten kryzys.

W takiej sytuacji trudno było nie marzyć o niewidzialnej ręce rynku jako remedium na wszystkie problemy społeczne i jako receptę na prawdziwy dobrobyt. Tylko nieliczni zwracali uwagę, że o ile państwo dobrobytu przeżyło jeden kryzys w swojej historii, a wcześniej zapewniło i mimo kryzysu nadal zapewniało nieznanym poprzednim stuleciom awans ekonomiczny dziesiątkom milionów ludzi, o tyle państwo wcześniejszego typu, mityczne państwo wolności gospodarczej, rujnujące kryzysy przeżywało regularnie co kilka lat, z tym największym w latach trzydziestych na czele.

A nawet gdy przeżywało jednego ze swoich licznych kryzysów, to jego niekryzysowa codzienność dla większości w nim żyjących oznaczała nędzę, wyzysk i niepewność jutra, jaką żyjącym dzisiaj trudno sobie wyobrazić. To częste wypadki w kopalniach, w których ginęli nie pojedynczy górnicy, ale setki, jak we francuskim Courrières, gdzie 10 marca 1906 r. zginęło 1009 robotników, w tym wielu pracujących „na dole” nieletnich. To pożar w chicagowskim Teatrze Iroquois, który 30 grudnia 1903 r. pochłonął 602 ofiary śmiertelne głównie dlatego, że prywatny właściciel nie był zagrożony żadnymi konsekwencjami za złamanie przepisów bezpieczeństwa, a opinię swojego własnego inspektora bezpieczeństwa najzwyczajniej zignorował, grożąc mu utratą pracy.

Kto jest ciekawy tej wolnościowej codzienności, niech zerknie do literatury. Nie trzeba sięgać aż do Dickensa. Wystarczy cho-

ciażby wydana w 1906 r. powieść Uptona Sinclaira *Grzędawisko* (*The Jungle*) opisująca detalicznie warunki pracy w słynnych, chicagowskich rzeźniach.

Kościół tego czasu nie wahał się zabierać głosu. Co więcej, zabierając głos w tych sprawach, nie imitował ani ideologii liberalnej, ani socjalistycznej, ale mówił swoim własnym językiem. Językiem Ewangelii, Ojców, wreszcie językiem św. Tomasza.

Na zarzuty, że wypowiada się o sprawach doczesnych albo że nędza i wyzysk są nieodwracalnymi skutkami zepsucia natury ludzkiej po grzechu pierworodnym, Kościół odpowiadał ustami swojego najwybitniejszego przedstawiciela tamtego czasu. Kardynał Pecci, późniejszy Leon XIII, tak pisał w liście do swoich diecezjan na Wielki Post 1877 r., na rok przed wyborem na Papieża: *Spółeczeństwo nie może stać nieruchomo, skoro złożone jest z ludzi, zdolnych do ciągłego ulepszania się; idzie więc naprzód i doskonali się [...]. Człowiek, ze społecznością związany trojako, się udoskonala: w dobrobycie materialnym, w stosunku moralnym z bliźnimi i w swych politycznych warunkach [...]. Jestże to prawdą, że człowiek nie może korzystać [...] z życia społecznego, dopóki nie zbuntuje się przeciw Kościołowi i nie odepchnie go? [...] Gdyby odpowiedź wypadła na szkodę Kościoła, nie byłoby podobnem zapobiedz odstępstwu jego synów, musielibyśmy wzgardzić instytucją, która by na dzikość i barbarzyństwo skazywała.* Zwróćmy uwagę, że dla Gioacchina Pecciego troska Kościoła o poprawę doczesnego bytu ludzi nie jest jakąś prozelitystyczną sztuczką, mającą przyciągnąć ludzi do (czy też *zatrzymać przy*) religii katolickiej, ale jednym ze znamion jej prawdziwości, jej objawionego charakteru.

Leon XIII to najwybitniejszy (czy też może: najwyżej wyniesiony) przedstawiciel nurtu, który nazywa się Katolickim Odrodzeniem XIX i początków XX w. Najwybitniejszy, ale przecież nie jedyny. Oprócz bardzo silnego komponentu społecznego tego Odrodzenia charakterystyczne było odrodzenie monastycyzmu, symbolizowane przez postać Prospera Guérangera i ściśle z tym związane odnowienie życia liturgicznego. To wreszcie czas odkrycia na nowo tomizmu.

Nie zawsze dostrzegamy, że te *odrodzenia* są ściśle ze sobą związane. Ich cechą wspólną jest przekonanie, że odpowiedzią Kościoła na zmieniający się świat jest zawsze sięganie do źródeł.

Nie tych źródeł wyobrażonych i stworzonych w ramach eksperckich rekonstrukcji, ale do tych żywych, bijących często na wyciągnięcie ręki, ale zapomnianych czy omijanych. Do Mszału, do Officium, do Reguły, do Summy. Warto pamiętać, że to, co dla dzisiejszych zorientowanych na tradycję łacińską wiernych stanowi jej kwintesencję, jeszcze sto kilkadziesiąt lat temu było zapomnianym skarbem, odkrywanym w atmosferze niechęci ze strony konserwatystów *status quo*.

Wracając do tytułowej myśli z encykliki Piusa XI: wydaje się, że dzisiaj grozi nam podobne niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo polegające na tym, że na słuszne postulaty budowy bardziej sprawiedliwego społeczeństwa odpowiedzą, wobec milczenia katolickich polityków, neokomuniści w rodzaju naszej Partii Razem czy greckiej Syriza.

Neokomuniści, którzy sprawiedliwsze rozłożenie ciężarów podatkowych, ochronę praw pracowniczych „sprzedadzą” społeczeństwu w pakiecie z „małżeństwami” homoseksualistów, dzieciobójstwem prenatalnym na życzenie i wypchnięciem Kościoła z przestrzeni publicznej.

Jeśli tak się stanie (a gdzieś już się dzieje, *vide* kodyfikacja związków partnerskich osób tej samej płci z prawem do adopcji dzieci, dokonana niedawno w Grecji), niech katolicy politycy, katolicy publicyści czy szerzej: liderzy katolickiej opinii publicznej nie wahają się – nie wahajmy się – zajrzeć, zgodnie z wezwaniem Piusa XI, w głąb własnych sumień. I tam przede wszystkim poszukać winy.

Niedawno do władzy doszła partia, której sztandarowym projektem jest wielki projekt: 500 zł co miesiąc na każde drugie i kolejne dziecko w rodzinie, opodatkowanie wielkich sieci handlowych czy instytucji bankowych.

To istotne zmiany, ale biada nam, jeśli damy sobie wmówić, że stanowią jakieś z trudem osiągalne maksimum. Biada nam, jeśli powstrzymamy się po naszej katolickiej i prawicowej stronie polskiej sceny politycznej od uczciwej rozmowy o sprawiedliwszym rozłożeniu ciężarów podatkowych nie tylko pomiędzy kapitałem polskim a obecnym w naszym kraju kapitałem zagranicznym, ale także między biedniejszymi a bogatszymi w Polsce. Biada nam, jeśli słusznie domagając się uznania ciężkiej pracy kobiet rezygnu-

jących z pracy zawodowej, by poświęcić się wychowaniu dzieci, za pracę wymagającą podobnej ochrony jak ta wykonywana na podstawie umowy o pracę, zapomnimy, że tak samo usilnie trzeba walczyć o to, by pracująca kobieta nie była karana za urodzenie dziecka utratą pracy i praktycznym zamknięciem możliwości powrotu do niej w przyszłości.

Wszystko to oczywiście z pamięcią, że społeczne Magisterium Kościoła, jak każde jego Magisterium, to wyznaczenie granic tego, co moralnie i doktrynalnie dopuszczalne, a nie sztywny program. W ramach tych katolickich granic możliwa i potrzebna jest dyskusja, której patronować powinny wszystkie cnoty kardynalne, a więc poza sprawiedliwością (w tym tą społeczną) także roztropność (zważanie na to, co w danej chwili możliwe), umiarkowanie (a więc także patrzeć na potrzeby innych), wreszcie męstwo (pamięć o tym, że niepowodzenia czy przeciwności nie zwalniają od ciągłego starania o to, co słuszne).

Póki co, przynajmniej w naszym kraju, nic nie jest przesądzone. *Ale już siekiera do pnia przyłożona.* ■